

RAFAŁ GRĄDZKI

# ŻADNE TAM HOLLYWOOD

OPOWIEŚCI  
O ODCHODZENIU

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2023

© Rafał Grądzki, 2023

Opieka redakcyjna: Damian Strączek

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Magdalena Koch

Projekt okładki: Adam Gutkowski

Fot. na pierwszej stronie okładki © Katarzyna Białasiewicz | Dreamstime.com

Fot. na ostatniej stronie okładki © Archiwum autora

Opracowanie graficzne i skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3651-2

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa: LEYKO Sp. z o.o. • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis cream 70g vol. 2.0

# SPIS TREŚCI

|  |     |
|--|-----|
| Wstęp . . . . .  | 9   |
| Terminator . . . . .   | 15  |
| Na porodówce . . . . .   | 37  |
| Czasami jest lepiej, a czasami – bardzo źle . . . . .                                  | 55  |
| Co będzie, to wiemy . . . . .  | 73  |
| Żadne tam Hollywood. . . . .   | 99  |
| Covistucha . . . . .   | 123 |
| Pokój z widokiem na bruk . . . . .   | 151 |
| Cmentarna baba . . . . .   | 167 |
| Kochaj bliźniego swego . . . . .   | 197 |
| Indianin . . . . .   | 213 |
| Złote buty . . . . .   | 227 |
| To ja jestem abstrakcją . . . . .  | 241 |
| Lekarz ostatniego kontaktu . . . . .   | 257 |
| Epilog – piwo na parapecie . . . . .   | 269 |
| Posłowie. . . . .  | 295 |
| <br>   |     |
| Jak umiera ciało?<br><i>ks. Jan Kaczkowski (współpraca: Bożena Aksamit), . . . . .</i> | 297 |

## WSTĘP

Stałem oparty o ścianę tylnej części głównej nawy wiejskiego, neogotyckiego kościoła. Widziałem przed sobą wielu ludzi, ale nie pamiętam nikogo szczególnego. Na pewno była tam rodzina, sąsiedzi i znajomi. Musieli być. Tak sędzę.

Całą uwagę skupiłem na zwłokach. Babcia miała bladą, bezkrwistą twarz. Wciąż tęga, szczelnie wypełniała swoim ciałem drewniany, obity w środku białym materiałem piórnik trumny. Ludzie śpiewali: „...dobry Jezu, a nasz Panie, daj jej wieczne spoczywanie...”. Cienkie, drżące, pełne fałszów nuty. Wyszedłem na zewnątrz. „Wszystko się skończyło”, powtarzałem raz za razem. Pamięcią wracałem do zdarzeń sprzed kilku dni.

Szedłem korytarzem gdańskiego szpitala na Klinicznej. Miałem przekazać babci siatkę z rzeczami. Wyszła do mnie w koszuli nocnej i szlafroku. Uśmiechała się. Przez myśl mi nie przeszło, że za kilka dni już nie będzie żyła. Czekala na jakiś zabieg, a potem znów miało być tak, jak dawniej. I co? I chuj! Wszystko się skończyło. Nie będzie już porannych kubków ciepłego mleka, które babcia nalewała wprost z cynowo-aluminiowego wiadra, oddzielając resztki słomy za pomocą filtra z tetrowej pieluchy. Nie będzie ubijania masła w beczce, szynki peklowanej w kamionce, palenia w piecu, kąpeli w sieni za kotarą, kupy w wychodku obok kompostownika i stodoły, porannego karmienia świń, sianokosów

i kurzych pisklaków hodowanych w świetlicy pod zawieszoną tuż nad podłogą lampą. Nie będzie spania w stodole, zjeżdżania zimą na workach wypchanych sianem, łażenia po lasach i tropienia pozostałości po ludziach, którzy żyli na tych ziemiach, zanim je przyłączono do Polski. Nie będzie uśmiechu, czułości, miodu wysysanego wprost z woskowych plastrów, chleba z masłem i cukrem i pytań, co tam słyhać u miastowych. „Wszystko się skończyło!”.

Był wrzesień 1993 roku. Ostatnimi promieniami lata świeciło piękne, ciepłe słońce. Wiatr zmiatał pył z wyschniętej na wiór, wybrukowanej kocimi łbami drogi. Stałem na trawniku między kościołem a biblioteką i z trudem powstrzymywałem łzy. To wtedy przysięgłem sobie, że już nigdy nie pójde na żaden pogrzeb. Bo to zbyt wielka udręka.

Długo dotrzymywałem słowa. Przez lata stałem się mistrzem samooszustwa i automanipulacji. Nienawidziłem przyszłości, bo wiedziałem, że nie ma w niej dla mnie miejsca. Pogrzeby za bardzo przypominały mi, że z każdym oddechem przybliżam chwilę, w której umrę. Że – jak mawiała babcia – przyjdzie pani w czarnym płaszczu i mnie zabierze. Zatruję się strachem przed bólem, cierpieniem i nicością. Umarła druga babcia, dwóch wujów, dwie ciocie, dziadek i kilkoro przyjaciół. Kuzyn z kuzynką przestali się do mnie odzywać. Kontakty skaziło niewypowiedziane oskarżenie o niebycie.

Przyrzeczenie złamałem dwadzieścia trzy lata później. Skończyły mi się drogi ucieczki od własnych emocji. W kwietniu 2016 roku z racji pełnionej funkcji musiałem uczestniczyć w pogrzebie księdza Jana Kaczkowskiego, wieloletniego szefa Puckiego Hospicjum. Miesiąc wcześniej Johnny zaprzysiągł mnie, że nie wycofam

się z działalności w hospicjum, kiedy jego już nie będzie. „Jeśli nie zaczniesz dla kogoś żyć – powiedział na koniec – to umrzesz po nic”.

Chciałem odejść. Naprawdę chciałem. Czułem, że to przyzwanie jest dla mnie zbyt wielkim brzemieniem. Ale im bardziej się od hospicjum oddalałem, tym bardziej ściągało mnie z powrotem. W końcu zacząłem w nim pracować. Jan – trzy lata po swojej śmierci – dopiął swego, a kostucha na całego rozgościła się w moim życiu.

Powoli, sukcesywnie zacząłem ją oswajać. Nic tak nie wspomaga zmiany jak zwykle, niewymuszone obcowanie.

Spotkania z tymi, którzy odchodzą, i z tymi, którzy im na co dzień towarzyszą, rodziły pytania. Jak rozmawiać o śmierci? Jak przestać ją wypierać? Co to w ogóle znaczy dobra śmierć? Dlaczego tak się jej boimy? Dlaczego udajemy, że jej nie ma, a jak już jest, to też jej nie ma? Czemu tak trudno jest nam zaakceptować czyjeś odejście? Gdzie jest granica walki o życie? Kiedy trzeba powiedzieć, że już dość? Co można zrobić dla umierającego człowieka, kiedy wiadomo, że już nic nie można? Co to znaczy, że ktoś dobrze przeżył żałobę? I czemu śmierć to najgorsza rzecz, jaka może nas spotkać? Zacząłem o to pytać różnych ludzi. Przez prawie dwa lata doświadczałem, rozmawiałem, słuchałem, drażyłem, dociekałem, obserwowałem, konfrontowałem poglądy i wyciągałem wnioski. Efektem tej pracy jest książka, którą, drogi Czytelniku, trzymasz teraz w ręku.

Napisałem ją, opierając się na wspomnieniach i przeżyciach ludzi, których w różny sposób dotknęła nieodwracalność i ostateczność umierania. Którzy starali się poradzić sobie ze stratą bliskiej osoby, bezpowrotną utratą dotychczasowego stylu życia,

planów na przyszłość, marzeń i perspektyw. Których los zmusił do podejmowania dramatycznych decyzji i życia z ich konsekwencjami. Niektórzy poświęcili dla umierających swoje zawodowe życie. Inni stracili dzieci, żony, mężów, rodziców lub partnerów. Jeszcze inni sami byli już blisko przejścia przez ostatnie drzwi.

Mówienie o śmierci przypomina striptiz przed tłumem gapiów, którzy uwieczniają komórkami każdy ruch, śliniąc się z pożądania. Mimo to moi bohaterowie przez wiele godzin odkrywali przede mną najskrytsze wspomnienia i myśli. Uważali, że podzielenie się swoimi historiami może się okazać ważne dla innych.

Dialogi, myśli i emocje odtwarzałem przede wszystkim na podstawie relacji samych bohaterów. Jednakże zdaję sobie sprawę, że pamięć przeszłych zdarzeń nie jest ich pełnym odzwierciedleniem, tylko mniej lub bardziej wierną rekonstrukcją. Zatem, by zachować największy możliwy stopień oddania rzeczywistości, wspo- magiałem się czasem informacjami uzyskanymi od osób trzecich, które były świadkami lub współuczestnikami opisywanych zdarzeń. Ponadto tam, gdzie to konieczne, posiłkowałem się doniesieniami prasowymi, danymi statystycznymi, dokumentami lub wyimkami z literatury fachowej.

Powstała książka o przyszłości każdego z nas. O tym, co robimy, żeby tę przyszłość ogarnąć, kiedy już stanie się teraźniejszością.

Nie oceniam uczynków moich bohaterów. Skupiam się na ich przeżyciach, emocjach, doświadczeniach i przemyśleniach, a nie na stosunku do tego, co zrobili, zrobić nie chcieli bądź nie potrafili. Łatwo jest powiedzieć, że coś jest dobre albo złe. Zrozumienie motywów wymaga znacznie większego wysiłku.

Niektóre reportaże lub rozmowy poprzedzają krótkie historie, których byłem świadkiem, uczestnikiem bądź które usłyszałem

podczas jednej z kilkuset rozmów prowadzonych przy okazji zbierania materiałów do tej książki. Korespondują z głównymi opowieściami, czasem są ich kontrapunktem, pokazują odmienny punkt widzenia. Ich zadaniem jest wprowadzenie w temat i jednocześnie skłonienie Cię, Czytelniku, do spojrzenia na opisywane wydarzenia z innej, niekoniecznie oczywistej perspektywy.

Większość tekstów powstała w trakcie pandemii COVID-19. Staralem się, by wirus zbyt mocno nie namieszał w ich treści i w ostatecznym przekazie. Nie mogłem jednak całkowicie pominąć jego obecności. Choćby dlatego, że bezpośrednio lub pośrednio jest odpowiedzialny za dramatyczne w swoim wydźwięku dane statystyczne o zgonach w 2020 roku i zapewne również w 2021. Śmierć wkroczyła pod nasze strzechy z brutalnością tsunami. Nie dało się już udawać, że jej nie ma.

Kilkoro bohaterów prosiło mnie o ukrycie personaliów. W jednym przypadku dotyczyło to również danych pozwalających na identyfikację osób trzecich biorących udział w opisywanych wydarzeniach. Dlaczego? Niektórzy z nich zrobili rzeczy, które w Polsce są uznawane za niezgodne z prawem, inni podjęli decyzje, które zazwyczaj stają się źródłem potępienia i ostracyzmu społecznego, jeszcze inni prezentują postawy lub poglądy, które fundamentaliści – zwłaszcza religijni – uważają za niegodne człowieka. Jedna osoba poprosiła mnie o anonimowość, bo nie chciała, by wytykano ją potem palcami na ulicy. Uszanowałem wszystkie te prośby, odnotowując to w każdym przypadku.

Powinieneś, Czytelniku, wiedzieć, że z częścią bohaterów i bohaterek pozostaję w bardzo bliskich relacjach. Kilkoro znam od wielu lat, niektórzy są moimi hospicyjnymi współpracownikami. Inni po prostu zgodzili się opowiedzieć mi swoje przeżycia,



a nasze drogi, które się wtedy przecięły, podążyły później w różnych kierunkach. Niektórzy jednak zostaną. Staralem się bardzo, by to pomieszanie ról reportera, przełożonego i kolegi nie miało wpływu na moją bezstronność i obiektywizm. Sprawdzałem to, co mogłem sprawdzić, ale nie potwierdzałem każdego słowa w trzech źródłach.

Każdy tekst z tego zbioru podlegał standardowej procedurze autoryzacji. Moim celem było opowiedzieć usłyszane od bohaterów historie jak najwierniej, z szacunkiem i elementarną czułością. W końcu to historie najintymniejsze z intymnych. W jednym przypadku tekst przeczytali już tylko członkowie rodziny.

I jeszcze ostatnia rzecz. Dość często zdarza się, że autor ma jakieś marzenie związane z publikacją jego pracy. Nie odbiegam zatem chyba od średniej. Mam taką cichutką nadzieję, że lektura tej książki i wniknięcie w losy jej bohaterów sprawią, że może niektórzy z Was przestaną zamiatać temat śmierci pod najgrubsze sploty dywanu. Że po lekturze pogadacie o tych najważniejszych sprawach z dziadkami, rodzicami, dziećmi, życiowymi partnerami lub znajomymi. I kiedy przyjdzie co do czego, będziecie czuć i wiedzieć, co robić. Wasz strach przed tym, co nieuniknione, będzie odrobinę mniejszy.

# TERMINATOR

Słuchałem jego opowieści i nie rozumiałem motywów, które nim kierowały\*. Dlaczego tak wybrałeś? Dlaczego zdecydowałeś się na tę, a nie inną drogę? I wtedy ostatniego dnia naszych rozmów opowiedział mi taką oto historię:

„Przeżyłeś kiedyś takie spotkanie, które zaważyło na całym twoim późniejszym życiu? Zapewne tak. Każdy ma taki moment, więc wiesz, jak to jest. Usłyszysz słowa, które siekają cię na kawałki albo na odwrót, zbudują na nowo twoją tożsamość. Pamiętasz je przez całe życie, wpływają na wszystko, co robisz, w jaki sposób patrzysz na świat, jakim jesteś człowiekiem. Powie ci to ojciec, matka, coach albo kolega z pracy. Nieistotne kto. Ja swoje motto życiowe usłyszałem od przyjaciela mojego dziadka. Kiedy miałem jakieś dziesięć lat, zabrał mnie na ryby i opowiedział, jak podczas okupacji przeżył rozstrzelanie wszystkich więźniów.

Niemcy wywlekli go z celi i razem z innymi ustawili pod murem. Huk strzałów. Upadł. Kula drasnęła szyję. Chwilę później zważyło się na niego bezwładne ciało współwięźnia. Dostrzegł iskierkę światła tuż obok głowy. Przesunął się odrobinę. Oddychał

---

\* Szczegóły identyfikacyjne, w szczególności te, które dotyczą miejsc oraz osób, z którymi bohater stykał się podczas opisywanych dalej zdarzeń, na jego prośbę zostały ukryte. Zachowałem też oryginalny sposób opowiadania przez bohatera tej historii.

przez małą dziurkę w płaszczu leżącego na nim trupa. Tamci nie sprawdzali każdego ciała. Śpieszyli się – Rosjanie byli tuż-tuż.

«Kiedy kończy się nadzieja?» – zapytał na koniec.

Bezradnie wzruszyłem ramionami.

«Nigdy! – powiedział podniesionym głosem. – Dopóki jesteś, dopóki zachowujesz zdolność do myślenia i podejmowania decyzji, to masz jakąś szansę. Może ci się uda. Jeśli przestaniesz myśleć i działać, to na pewno nic dobrego się nie zdarzy, bo nikt o ciebie nie zadba. A jeśli będziesz liczyć na cud, to dowiesz się, że cudów nie ma».

Zapamiętałem te zdania. Stały się moim credo”.

Zrozumiałem, co miał na myśli. I oddaję mu głos.

## 1

Jest ciepła wiosenna sobota, początek nowego milenium. Właśnie rozmyślasz o budowie domu. Wymarzonego i bezpiecznego, idealnego dla małżeństwa młodych, błyskotliwych prawników z wojewódzkiego miasta oraz ich dwóch kilkuletnich córek. Dom powstanie na fundamentach poprzedniego dopiero co wyburzonego budynku.

Twoja żona wychodzi z łazienki. Przed chwilą pomiędzy mostkiem a szóstym zębem wyczuła długie, miękkie, bolesne zgrubienie. Widzisz w jej oczach zdziwienie, niepewność i niepokój. Wiesz, że musisz działać. Zostawiasz dzieci pod opieką krewnych, wsiadasz do samochodu i wiesz zionę do szpitala. Do domu wracasz późno. Sam. Niewiele możesz powiedzieć. Wiesz tylko, że coś się dzieje i że twoja żona przejdzie szereg szczegółowych badań. Ale nie widzisz jeszcze powodów do niepokoju. To pewnie

jakieś kobiece przypadłości. Przecież od dawna była umówiona na wizytę u ginekologa.

Tydzień później zaczynają spływać wyniki.

Lekarze wykrywają całkowicie nieoperacyjną, półmetrową, pięciokilogramową masę nowotworową, która zaczyna się przy macicy, wędruje przez nerkę i trzustkę i kończy się w okolicach lewego płuca. Twierdzą, że nic już nie da się zrobić, a twojej żonie zostały dwa do trzech tygodni życia. Co robisz?

Jest maj. Zły czas na umieranie.

## 2

„Nie, nie, nie! – wściekasz się – Co to jest, kurwa, za diagnoza? Jakie trzy tygodnie? Arytmetyka nie ma zastosowania w medycynie! A nawet jeśli ma, to nie od dziś wiadomo, że treść zadania i wynik mogą się zmieniać w trakcie rozwiązywania problemu”.

Musisz działać. Natychmiast! Żona nie może się dowiedzieć, na co jest chora. Ważne, by żyła, a nie myślała, że za chwilę umrze. Rozmawiasz z lekarzami. Zakazujesz im udzielania jakichkolwiek wrażliwych informacji. Bierzesz to na siebie. Wykorzystujesz fakt, że jednego z nich znasz, drugi trochę się ciebie boi, a jeszcze inny nie lubi informować swoich pacjentów o trudnych rzeczach. Żonie mówisz, że coś jej wycięto, ale zabieg nie usunął problemu definitywnie i potrzebna jest dalsza, specjalistyczna terapia. Wiesz, że ona ci ufa. Nikogo nie zapyta sama z siebie, bo powiedziałeś jej to, co należy.

Tak trzeba. Znasz żonę od dziewięciu lat. Wiesz, co jest dla niej ważne. Skończyła prawo, urodziła dwie córki, dostała się na

aplikację, zrobiła asesurę. Niedawno otworzyła własną kancelarię. Informacja, że w wieku trzydziestu jeden lat umrze, byłaby dla niej nie do zniesienia. Zdajesz sobie sprawę, że jest zupełnie bezradna w sytuacjach, w których traci kontrolę nad własnym życiem. Że nie poradzi sobie z informacją, że za kilka tygodni jej nie będzie. Że nie zobaczy, jak młodsza córka idzie po raz pierwszy do szkoły. Że nie ma szans, by wszyscy razem pojechali na wakacje. Że nie wprowadzi się do nowego domu, bo ten będzie gotowy pół roku po jej śmierci.

Nigdy wcześniej nie rozmawialiście o sprawach ostatecznych. Oboje wychowaliście się w domach, w których hołdowano typowej kulturze cywilizacji zachodniej. Rozmowa o śmierci i przemijaniu była *passé*. Nie planowało się żadnych działań na wypadek, gdyby ktoś zginął lub umarł. Te tematy były poza sferą jakiegokolwiek aktywności. Po co się odrealniać? Zajmowaliście się życiem, nie myśleliście o abstrakcyjnej wieczności. Po co zaprzętać sobie głowę czymś, na co nie ma się żadnego wpływu?

### 3

Widzisz, że żona cierpi. Tydzień w szpitalu jest nieprzemijającym pasmem bólu. Rozcięta i zasztyta, z embolizowaną\* w trakcie zabiegu nerką leży na oddziale i dostaje domięśniowo morfinę. Ból

---

\* Embolizacja – procedura chirurgiczna, polegająca na zamknięciu dopływu krwi do określonych narządów lub obszarów ciała. Ogranicza się głównie do zamknięcia światła tętnicy lub żyły. Można nią leczyć m.in. tętniaki, naczyniaki, żylaki. Bywa również stosowana w schorzeniach onkologicznych niektórych narządów (np. nerki).

wywołany uciskiem nowotworu na tkanki miesza się z bólem pooperacyjnym. Morfina nie pomaga, bo podawana jest według schematu wymyślonego na potrzeby wojny w Wietnamie. Jesteś wściekły. Nie ufasz lekarzom, mimo że większość z nich to znajomi lub koledzy. Wiesz, że musisz znaleźć alternatywę.

Teściowie dzięki swoim kontaktom znajdują sposób na umieszczenie żony w jednym z najlepszych szpitali onkologicznych. Lekarze podają środki przeciwbólowe. W odpowiedni sposób, w odpowiednich dawkach i w odpowiednich interwałach. Po trzech godzinach ból znika.

Cały czas jesteś przy łóżku żony. Uśmiechasz się, gdy widzisz na jej twarzy ulgę. Ona odwzajemnia uśmiech. Czujesz się odrobinę spokojniejszy. Czas na kolejny ruch. Idziesz porozmawiać.

Masz ze sobą w kopercie komplet wyników z dotychczas przeprowadzonych badań i przygotowane już do mikroskopowego obrazowania wycinki tkanek. Wszystko, co niezbędne do podejmowania decyzji o dalszym przebiegu terapii.

- Pańska żona jest śmiertelnie chora – mówi lekarz. – Najprawdopodobniej nie będziemy mogli jej wyleczyć. Ale powalczymy.
- Czy to znaczy, że zamiast trzech tygodni pożyje pięć?
- Nie, nie. Powalczymy. Podamy chemię. Oczywiście rozumie pan, że to jest chemia paliatywna. Jej zadaniem nie jest leczenie, tylko wydłużenie życia. Szacunkowo o kilkanaście miesięcy.

Cieszysz się tą informacją. Masz poczucie, że w końcu trafiłeś na ludzi, którzy wiedzą, co robić. Przejechałeś paręset kilometrów i zyskałeś dla żony co najmniej rok. Pokrzepiająca perspektywa.

Uzgadniasz dalszy tok postępowania. Jeden lekarz osobiście będzie zajmował się twoją żoną. Ustalasz, że o szczegółach jej choroby będzie rozmawiał tylko z tobą. Chcesz i musisz filtrować

wszystkie informacje. Wspierasz swoją prośbę hojnym dowodem wdzięczności. Wiesz, jak to działa, bo znasz to środowisko. Jesteś pewien, że nic nie wycieknie. Twój rozmówca użyje swoich feudalnych wpływów, a jego współpracownicy nie wyjdą przed szereg. W imię czego mają ryzykować karierę? Trochę spokojniejszy wracasz do domu. Zrozpaczonych teściów informujesz, że ogólny stan żony uległ poprawie, ból ustąpił, a lekarze przygotowują ją do chemioterapii.

Nie czujesz żadnych wyrzutów sumienia. Skoro okłamujesz własną żonę, to tym bardziej nie widzisz powodu, żeby mówić prawdę bliskim. Po co im wiedza, że ona i tak wcześniej czy później umrze? Co z nią zrobią? Potrzebujesz ich. Chętnych do pomocy, gotowych do działania, nieprzygniecionych wizją nieuchronnej straty. Wystarczy, że ty już jesteś w żałobie. Wszyscy inni mogą poczekać.

Zastanawiasz się, co dalej. Skoro w Polsce poziom opieki medycznej w przypadkach niestandardowych nie zależy od znajomości i zasobności portfela, tylko od umiejętności lekarzy, którzy opiekują się pacjentem, to twoim celem powinno być kupienie żonie jak największej ilości czasu w kraju i znalezienie właściwej terapii za granicą. Potrzeba ci wiary w słuszność swoich działań, współpracy i zaangażowania najbliższych, wiedzy o tej konkretnej postaci raka i dostępnych na świecie możliwościach jego leczenia, pieniędzy i swobody działania. Musisz obmyślić jakiś plan.

Widzisz sześć grup zadań. Każda wymaga odpowiednio dużego nakładu czasu. Poszczególne zadania muszą zostać wykonane wyłącznie perfekcyjnie. Żadna inna opcja nie wchodzi w rachubę. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, cała ta misterna układanka posypie się niczym domek z kart.

**Po pierwsze.** Nie wolno ci się poddać. Nie możesz dopuścić do świadomości myśli o zbliżającej się śmierci żony. Należy kłamać, by samemu uwierzyć, że wyleczenie jest możliwe.

**Po drugie.** Bezwzględnie powinieneś zapanować nad teściami. Są potrzebni nie jako cmentarne płaczki, tylko ludzie, na których możesz liczyć. Mów im to samo, co żonie.

**Po trzecie.** Nie masz wyjścia. Czas przejąć wobec córek część obowiązków, które do tej pory należały do żony. Szczególnie tych emocjonalnych. Dzieci niczemu nie są winne. Zwłaszcza kiedy mają po kilka lat. Teraz ty musisz o nie zadbać.

**Po czwarte.** Kontynuujesz budowę. Bez względu na koszty twoja żona musi wprowadzić się do nowego domu. W pełni wykończonego i wyposażonego. To jej marzenie. Nie wolno ci go nie spełnić.

**Po piąte.** Trzeba zorganizować kancelarię tak, by funkcjonowała nawet wtedy, kiedy jesteś z żoną na kolejnej chemii. Twój cel – w ciągu roku zarobić pół miliona na wykończenie domu i drugie pół na wszelkie wydatki związane z chorobą.

**Po szóste.** Poszerzenie wiedzy jest konieczne. Powinieneś zdobyć jak najwięcej informacji o raku, który ma twoja żona, o zasadach walki z bólem, o sposobach wpływania na lekarzy, by zastosowali ściśle określoną procedurę podawania leków przeciwbólowych, a nie tę, którą znają i preferują, o możliwościach leczenia poza granicami kraju oraz o wszystkich najlepszych ośrodkach walki z chorobami nowotworowymi na świecie.

Przyglądasz się spisanim przed chwilą zadaniom i widzisz, że dasz radę tylko wtedy, gdy zmienisz się w kłamcę. Kłamstwo jest twoim kluczem do sukcesu. Tylko dzięki niemu istnieje szansa zapewnienia żonie warunków, które pozwolą jej spokojnie



chorować, a nie martwić się o bezpieczeństwo dzieci, pograżonych w żalu rodziców, rozgrzebaną budowę lub prawdopodobny brak środków do życia.

A może nie? Ta myśl dręczy cię nieustannie. Może trzeba powiedzieć prawdę? Zaakceptować rzeczywistość? Nie zwracać uwagi na reakcje innych? Przestać zajmować się płaczącym ojcem i zdesperowaną matką? Oni muszą sobie z tym dać radę sami. Może trzeba olać ten dom, bo już nie będzie tak, jak sobie wymarzyliśmy? Opuścić pogoń za kasą? Zadbac o czas, który jeszcze pozostał? Walczyć o jego jakość, a nie długość, i spędzić go jak najlepiej, bo nikt nie podaruje nam go ponownie? Żyć pełnią życia, dopóki żona jest na tym świecie?

Którą opcję wybierzesz?

#### 4

Dom, droga, szpital, wlew chemii, odpoczynek, powrót, dwa dni w domu, szaleńcza jazda, kolejny wlew, dwa dni w szpitalu i z powrotem. I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Trasę z domu do szpitala pokonujesz ze średnią prędkością 180 km/h w mniej niż półtorej godziny. Po kilku tygodniach policjanci przestają cię łapać. Znają sytuację. Machają tylko z pozdrowieniem, kiedy pędzisz obok ich stałych kryjówek.

Kiedy żona dostaje kolejną dawkę chemii, siedzisz kilka metrów dalej pod ścianą, z laptopem na kolanach i pracujesz. Opinia prawna, rekomendacja, regulamin, skomplikowana umowa, przygotowanie strategii w sądzie, negocjacje handlowe. Działasz jak automat. Kończysz jedno zadanie i zaczynasz następne. Nie

masz wyjścia. Córkami zajmują się teściowie i opiekunka. O chorą żonę – kiedy jest w domu – troszczą się jej matka, ojciec, gosposia i ty. W końcu musisz zatrudnić pielęgniarkę.

Przez cały czas nadzorujesz budowę domu. Wspólnie z żoną (o ile efekty uboczne chemii jej na to pozwalają) wybieracie materiały wykończeniowe i meble. Jeździcie po sklepach, oglądacie katalogi, dyskutujecie o szczegółach wystroju i funkcjonalności każdego pomieszczenia. O innych rzeczach nie rozmawiacie. Przecież wszystko będzie dobrze. Tak jej mówisz. Wygląda na to, że ci wierzy. Szybko przyzwyczajasz się do mówienia „prawdy”, którą ona chce usłyszeć.

W szpitalu wiedzą, kim jesteś. I że nie ma z tobą żartów. Postępujesz dokładnie według zasady, której nauczyłeś się od dziadka: „Jak nie będą się ciebie bali, to się będą z ciebie śmiali”. Jeśli umieszczą żonę na sali, w której znajduje się inna osoba, mogą być pewni, że natychmiast przyjdiesz i bez żadnych ceregieli zażadasz przeniesienia jej do osobnego pokoju. Gdy oświadczą, że takiego nie mają, mówisz im, że gównu cię to obchodzi i żeby takie miejsce znaleźli. I pytasz – najuprzejmiej, jak potrafisz – ile to kosztuje. Bo ma być tak, jak chcesz.

W zasadzie o nic nie prosisz. Płacisz i oczekujesz. I niech ci, kurwa, spróbują odmówić.

W krótkim czasie udaje ci się zebrać ogromną wiedzę. Kupujesz książki – głównie amerykańskie – które opisują przypadki nowotworów podobnych do tego, który ma twoja żona. Kontaktujesz się z Johns Hopkins Hospital w Baltimore, najlepszą placówką specjalizującą się w terapii raka trzustki. Uważasz, że oni tworzą medycynę, a nie tylko ją stosują. Przesyłasz wyniki badań, wykupujesz wizytę, załatwiasz wizy.

Twoja żona po kilkunastu dawkach chemii nie ma już włosów. Jest bardzo osłabiona. Cierpi. Doskonale wiesz jak bardzo. Każdy wlew oznacza ból. To nie ukłucie, uderzenie czy grypa jelitowa. To utrzymujący się przez kilkanaście godzin, nieprzerwany, tępy krzyk całego ciała. Każda myśl krąży wokół bólu. Każdy ruch jest koszmarem. Siadasz wtedy tuż przy niej i głaszczesz ją po głowie. Powtarzasz ten sam kojący ruch, który być może czułeś ileś tam lat temu, gdy twój ukochany dziadek uspokajał cię po bijatyce na podwórku. Tyle możesz zrobić, zanim przyjdzie czas na następny wlew i towarzyszący mu ból. I kolejny. I jeszcze jeden. I jeszcze.

Po kilku miesiącach nieustannej chemioterapii rozmawiasz z ordynatorem.

– Dziękuję panu za to, co pan do tej pory zrobił dla mojej żony. Chciałbym, żeby pan przyjął dowody mojej ogromnej wdzięczności.

Lekarz przyjmuje twoje podziękowania.

– Panie doktorze, co dalej?  
– Sam nie bardzo wiem, co dalej. Niech pan szuka w internecie, medycyna cały czas się rozwija.  
– Poszukałem. Mam jedną propozycję.  
– Tak? A jaką?  
– W Johns Hopkins Hospital – pan zna ten szpital – powiedzieli mi, że gdyby żona była u nich, rozważyliby zastosowanie takiej oto terapii.

Podajesz kartkę z wydrukiem. Lekarz czyta z uwagą.

– Naprawdę? A to ciekawe. Nie sądziłem, że to może pomóc.  
– Zrobi to pan?  
– Nie ma mowy. Musiałbym mieć oficjalne zalecenie lekarzy z tamtej kliniki.

- Ok. Da się załatwić. W jakiej formie?
- Może być faks. Muszę mieć jakąś formalną podkładkę.

Okej. Wiesz już, co trzeba zrobić. Technika nie jest jeszcze zbyt zaawansowana. Nikt się nie połapie, a co bardziej prawdopodobne, nikomu nie będzie się chciało wgryzać w szczegóły. Kolega ze Stanów konstruuje w photoshopie odpowiedni formularz. Pojedzie nawet do oddziału swojej firmy w Baltimore i nada sfabrykowany dokument faksem. Jest rok 2003. Polska w tym czasie to techniczne zadupie. Żaden szpital nie zweryfikuje takiego dokumentu. Po cholerę męczyć się myśleniem i śledztwem, skoro facet chce, terapia ma sens, a koszty są bez znaczenia?

Kilka dni później żona dostaje nowe leki.

W grudniu, tuż przed świętami, przeprowadzasz rodzinę do nowego domu. Dziewczynki cieszą się z ogromnych pokoi. Żonie też na chwilę się poprawia. Plan działa.

I tylko ten piękny pies na drodze ze szpitala do domu. Wyśkakuje na jezdnię tuż przed maską. Przy takiej prędkości nie masz czasu na reakcję. Kurwa! Tobie to się nie zdarza! Jeździsz perfekcyjnie! Na poboczu zostają zmiażdżone zwłoki. Pierdolona choroba.

Czas mija, a ty jesteś coraz bardziej zmęczony. Żona mówi, że zrozumie, jeśli będziesz chciał przez jakiś czas pomieszkać gdzie indziej, odciąć się od choroby i zwyczajnie odpocząć. Ale to nie wchodzi w rachubę. Uważasz, że twoim jedynym obowiązkiem jest być przy niej i o nią dbać. Wszystko inne nie ma znaczenia. Jesteś wprawdzie u kresu sił, ale wyznajesz zasadę, że kiedy połamiesz nogi, dalej możesz pełznąć na rękach.

5

Który to już wlew? Straciłeś rachubę. Ciało żony krzyczy: dość, wystarczy! Ani kropli więcej! To koniec! W końcu dociera do ciebie, że jej śmierć jest nieunikniona. Przyznasz się do tego? Powiesz jej, że to koniec? Załamiesz się, usiądziesz na łóżku i pęknieysz? Nie ma mowy. Ty się nie poddajesz. Nie ma takiej siły, która zawróciłaby cię z drogi.

Eksperci ze szpitala, z którymi jesteś w kontakcie, doradzają, żebyś zamiast lecieć do Stanów, skorzystał z usług Instytutu Virchowa, który jako jedyny w tej części świata posiada aparaturę umożliwiającą terapię, która mogłaby jeszcze dać jakieś efekty. Co masz do stracenia? Kilkadziesiąt tysięcy długów więcej w twojej sytuacji to już nieistotny detal. W kwietniu, po dziesięciu miesiącach chemioterapii, lecisz z żoną do Niemiec.

Dlaczego samolot? Lot do Berlina nie trwa długo. Zależy ci, by podczas podróży było jak najmniej stresu i dyskomfortu. Wyniszczona chorobą żona podróżuje na wózku inwalidzkim. Na pokładzie samolotu oblepiają ją spojrzenia współpasażerów. Popierdolonych ludzi, którzy każdą inność muszą natychmiast piętnować swoją uwagę.

Co ona myśli? Co czuje? Zastanawiasz się, ale nie pytasz. Po co? No bo jak zapytać o coś takiego?

W Instytucie Virchowa przeżywasz szok. Do tej pory myślałeś, że twoja żona miała znakomitą opiekę. Teraz czujesz się, jakbyś się przesiadł z samochodu o standardzie fiata 126p do wypasionego lexusa. I nie chodzi tylko o najnowocześniejsze na świecie urządzenia diagnostyczne, przestronne, komfortowo urządzone pokoje czy poziom wyszkolenia personelu. Tu jest zupełnie inny

standard obsługi. Tu lekarze nie chodzą po korytarzu. A jeżeli już się na nim pojawiają, to podchodzą do ciebie i pytają, w czym mogą pomóc. Ty odpowiadasz – zgodnie z prawdą – że czekasz z żoną na badanie. Oni na to, że z tobą posiedzą i odpowiedzą na wszystkie twoje pytania. Czujesz, że jesteś tu najważniejszy. Że jesteś podmiotem. Że każdy najmniejszy drobiazg jest pomyślany i zaprojektowany po to, by pacjentowi było dobrze i komfortowo. By czuł się otoczony opieką i bezpieczny. W Polsce mogłeś zbliżyć się do tego standardu tylko za ekstra pieniądze. Inny świat. Diagnostę przeprowadza nie stażysta, nie rezydent, tylko profesor wydziału radiologii. Po jej zakończeniu zaprasza was do swojego gabinetu. Pyta, czy oboje mówicie po angielsku.

– Proszę pani – zwraca się bezpośrednio do żony. – Jest pani w ostatniej fazie choroby nowotworowej. Zostały pani dwa, może trzy tygodnie życia. Proszę jechać do domu. Żaden zabieg nie ma już sensu. Nie weźmiemy od państwa ani euro za badania.

Pytasz, czy jakikolwiek zabieg miał wcześniej sens. Profesor odpowiada, że nie wie, a wyniki poprzednich badań są tak marnej jakości, że na ich podstawie nie podejmuje się wydać żadnej opinii. Dalej nie wiesz, czy to, co zrobiłeś, było słuszne.

Żona długo milczy. W końcu prosi cię o papierosa. Widzisz, że drżą jej ręce. W drodze do domu nie rozmawiacie. Ona nie pyta, a ty się nie tłumaczysz.

6

Myślisz, że to już koniec, co? Definitywny i nieodwołalny kres walki? Że została ci tylko modlitwa? O nie! Zanim poprosisz Boga o cokolwiek, sam zrób wszystko, co możesz. Bóg nie pomaga tym, którzy nic nie robią.

Z Niemiec ściągasz psycholożkę, która dzięki opracowanym przez siebie metodom wizualizacji i wpływania na podświadomość zdołała pomóc wielu osobom chorym na raka. No koncie podobno ma nawet sporą liczbę całkowitych remisji. Dla ciebie to czary, ale kiedy wszystko inne zawiodło, czary są OK. Nadzieja to też jakieś lekarstwo. W wieku trzydziestu dwóch lat nie umiera się po prostu. To znaczy umiera się, ale nie tak po prostu.

Musisz przygotować córki na to, co się stanie. Tłumaczysz, czym jest rak. I co robi z ciałem mamy. Dla dziecka choroba jest wtedy, kiedy się zrani albo kiedy ma kaszel. Wszystko inne jest zbyt abstrakcyjne. Tak uważasz. Nie będziesz sobie zawracał głowy jakimiś uczonymi wywodami naukowców, którzy nie znają się na życiu. Wiesz dokładnie, co i jak chcesz zrobić. Wyjaśniasz, dlaczego mama schudła, dlaczego wypadły jej włosy i czemu ma na szyi guzy. Mówisz, że może umrzeć. Zachęcasz, by prosiły ją o zabawę, poczytanie książki lub zwyczajne, wspólne bycie razem. Każda chwila razem jest bezcenna. Robisz wszystko, by nieuniknione stało się trochę mniej straszne.

Kiedy jesteś w domu, zawsze chodzisz z żoną do łazienki. Nie chcesz, żeby się potknęła, upadła i umarła samotnie. Gdy bierze prysznic, przyglądasz się jej wyniszczonemu chorobą ciału. Ramiona jak patyki, cienkie nogi, kościste stopy, zapadnięta twarz

i ogromny pełen raka brzuch. Rozpoznajesz tylko oczy i głos. Reszta to jakiś obcy stwór. Co wtedy myślisz?

Znajoma lekarka dostarcza ci środki przeciwbólowe i globuliny\*. Kiedy trzeba, załatwia transfuzje.

W lipcu żona po raz ostatni jedzie do szpitala. Ma fatalne wyniki hemoglobiny. Chemia zdewastowała szpik i krew nie jest już w stanie odpowiednio dotlenić jej organizmu. Odczuwa ból, niczym ultramaratończyk po przebiegnięciu stu kilometrów. Jest podłączona do kroplówki, zacewnikowana, a efekty trawienia usuwa sonda osadzona w żołądku. Owrzodzone usta trzeba pędzelkować specjalną, precyzyjnie dawkowaną mieszkanką, złożoną ze środka powierzchniowo uśmierzającego ból oraz morfiny. Przekroczenie dawki może spowodować śmierć.

Najmniej cierpi w pozycji półsiedzącej, kiedy może oprzeć się o którąś ze stale towarzyszących jej osób. Tylko w ten sposób jako tako oddycha. Jesteś przy niej cały czas. Towarzyszą ci jej matka oraz psycholożka z Niemiec. Teściowa nie widzi innej możliwości, jak stale być przy córce. Rozumiesz to doskonale. Psycholożka głównie rozmawia. Masz nadzieję, że dzięki jej staraniom koniec będzie łatwiejszy.

Jest noc. Żona drzemie oparta plecami o twój bark. Siedzisz sztywno jak żerdź płotu, nie jesteś w stanie rozluźnić mięśni napiętych do granic wytrzymałości. Czuwasz. W którymś momencie chcesz się lekko przesunąć, dać chwilę wytchnienia napiętym

---

\* Globuliny – frakcje białek występujące w osoczu krwi. Są odpowiedzialne głównie za procesy odpornościowe, a także transport hormonów oraz kwasów tłuszczowych.



do granic możliwości mięśniom. Mówisz coś w stylu: „Dłużej nie wytrzymam, kochanie, muszę usiąść inaczej”. W jej oczach dostrzegasz zniechęcenie. Nie wyrzut, troskę, zdziwienie czy zaskoczenie. Zniechęcenie. Jakby chciała ci powiedzieć: „Zawiodłeś mnie. Bardzo”.

Ostatnie godziny są najtrudniejsze. Żona nie pamięta, że ma założony cewnik. Ciągłe wstaje, by pójść do toalety, bo rurka cały czas drażni przewód moczowy i powoduje parcie. Wchodzi pielęgniarka. Sprawdza coś przy aparaturze. Żona próbuje się podnieść. Kobieta krzyczy na nią, by się nie ruszała. W tym momencie twoja „cienka czerwona linia” pęka. Zrywasz się z podłogi, uspokajasz żonę, po czym wypadasz na korytarz i podbiegasz do spieszącej się gdzieś indziej pielęgniarki.

– Jeśli jeszcze raz wejdiesz do naszego pokoju, wyrzucę cię przez okno – syczysz przez zaciśnięte zęby. Masz ochotę trzasnąć ją w twarz.

Wracasz. Rozluźniasz zaciśnięte palce. Czas wlecze się w nie-skończoność. Żona co chwilę z lękiem w głosie pyta, czy już umiera.

– Jeszcze nie – odpowiadasz. Jedyne, co ci zostaje w tym obłądziej, to trzymanie się zasad logiki.

To jakaś paranoja – myślisz. – Ile jeszcze będzie musiała się męczyć? Ten, kto umiera, nie ma żadnego głosu. Ileż morfiny trzeba, by skrócić tę golgotę?

Smarujesz jej usta przeciwbólową mieszanką. Wkrótce żona traci przytomność. Siadasz na podłodze pod ścianą, opierasz się plecami o kaloryfer i zasypiasz. Zrobiłeś wszystko. Więcej nie można. Z drzemki budzi cię psycholożka.

– Staje się – mówi.

Zbliżanie się do śmierci jest ohydne – myślisz. – Ale sama śmierć jest piękna. Najcudowniejszy jest ostatni oddech. Wygląda jak narodziny.

Koniec. Dotarłeś do mety. Teraz czas na analizę kolejnego problemu: Co i jak powiedzieć dzieciom?

## 7

Następne trzy miesiące to jedna wielka, pełna pracy, szara plama.

Nie chcesz już niczego przeżywać. Nie masz siły. Pogrzeb to zadanie z gatunku sanitarnych. Coś trzeba przecież zrobić ze zwłokami. Ale najbliżsi myślą inaczej. Potrzebują rytuału. Usankcjonowanej tradycją formy okazania smutku. Pożegnania. Zmuszasz się do jeszcze jednego desperackiego wysiłku. Trzeba zadbać o wymogi kulturowe.

Wybierasz ubranie, w którym pochowasz żonę. Każdy drobiazg jest istotny. Do trumny wkładasz jej ulubiony zegarek. W jakiś niewytłumaczalny sposób obie wskazówki odpadły od mechanizmu i leżą na dnie cyferblatu. Los ze swoją symboliką potrafi być okrutnie śmieszny.

Na cmentarzu spotykasz mnóstwo znajomych. Dostrzegasz te dziwne spojrzenia, jakby żal, że muszą patrzeć na twoje płaczące dzieci. Uświadamiasz sobie, jak bardzo nie cierpisz tego towarzystwa. Że w gruncie rzeczy są bandą obojętnych skurwysynów. I wcale nie chodzi o to, że nie odzywali się przez ostatni rok. Że może nie wiedzieli, o co lub jak zapytać. Oni po prostu byli obojętni. Jak zawsze zajęci własnymi sprawami. Od teraz przestają być przyjaciółmi. Są ludźmi, których znasz.

Jeden z tych „przyjaciół”, świadek na ślubie, podchodzi, by złożyć ci kondolencje. Mówi, że jego żona chciała być tutaj, ale nie mogła.

Aha! – myślisz. – Czyli w dupie masz ten ślub i w dupie masz ten pogrzeb. Jesteś tu, bo tak jest według ciebie przyzwoicie. Ale jedyne, co masz mi do powiedzenia, to stary, moja żona nie mogła przyjechać. Naprawdę chciała, ale wiesz, jak jest. Ordynarne. Naprawdę wyjątkowo ordynarne.

Na stypie obserwujesz teściową. Ona pomogła ci najbardziej. Teść był zbyt zdruzgotany, by go prosić o jakąkolwiek pomoc. A ona była tytanem. Nigdy się na niej nie zawiodłeś. Teraz widzisz na jej twarzy nieme pytanie. Co teraz będzie? Czy on da radę? Samotny, z dwojgiem małych dzieci i kredytem? Patrzy na ciebie i pewnie modli się, byś dał radę.

Pod wieczór masz już dość. Gdy w końcu zostajesz sam, idziesz do córek i przytulasz je na dobranoc. Potem schodzisz do wciąż pachnącej nowością łazienki, napełniasz wannę wodą i zanurzasz się całkowicie. Otwierasz oczy i przez chwilę patrzysz na zniekształcony falującą wodą sufit. A potem krzyczysz. Bąble powietrza pienia się na powierzchni. Woda zalewa gardło. Spod wody niczego nie słyhać. To jedyne sposob, by wyrzucić z siebie żal.

## 8

Tak trudno.

Czuć jej zapach i nie wyobrażać sobie, że za chwilę stanie w drzwiach sypialni. Codziennie patrzeć na jej rzeczy upchnięte na półkach, w szafkach i szufladach, bo wciąż jest za wcześnie,

by się z nimi rozstać. Zapanować nad palcami, by nie wybierały bezwiednie zbyt dobrze znanego im numeru telefonu. Nie chcesz usłyszeć jej głosu.

Tak trudno.

Ogrzać dom, gdy całe ciepło definitywnie odeszło wraz z ukochaną osobą. Nie rozpamiętywać wspomnień. Zgodzić się z tym, że jej nie ma. Nie czuć. Nie pragnąć. Nie potrzebować. Nie tęsknić.

Tak trudno.

Jesteś wrakiem. Ale nikt się o tym nie dowie.

## 9

Ile czasu trzeba, by pożegnać przeszłość? Miesiąc? Pół roku? Rok? Dwa? Pięć? Wcale? Czy żal ma jakiś ustalony przebieg? Harmonogram? Początek i koniec? Co trzeba zrobić, by zaakceptować fakt, że przeszłość już była, a przyszłości nie będzie? W jaki sposób znów zacząć żyć?

Sześć lat po śmierci żony podczas porządkowania garażu w jednym z pudeł znajdujesz fiolkę z jej zastygłą krwią. Trzymałeś ją, bo wierzyłeś, że to nie emanacja pamięci, nie artefakt, tylko realna ona. Ostatnia jej część, która do czegoś się nadaje. Ale co jest dobrego, mądrego i transcendentnego w tym, że gdzieś w jakimś kartonie leży flakonik z czarną, zakrzepłą masą komórek? Na co ci się przyda? Przecież jej nie wskrzesisz.

Żal przychodzi nagle. Jest tak silny, że podwodne krzyki są przy nim niczym westchnienie po przypadkowym nadeptaniu na pełzającego po chodniku ślimaka. Odżywają zdeptane czynami wątpliwości.

Nie powinieneś kłamać. I nie powinieneś mieć nadziei. Okradłeś żonę z jej szczęścia. Uczyniłeś z niej przedmiot, a nie podmiot choroby. Pozbawiłeś ją ostatnich chwil szczęścia. Masz czterdzieści lat, a czujesz się, jakbyś miał sześćdziesiąt. Co z tego, że zrobiłeś to, co słuszne? Odrzuciłeś miłość na rzecz komfortu wszystkich dookoła. Przegrałeś! A ty nigdy nie przegrywasz! Mogłeś powiedzieć całemu światu: Mam was wszystkich głęboko w dupie! Będę robił to, na co mam ochotę, z osobą, którą kocham, i gównu wam do tego. Nie wam mnie oceniać. Stałeś przed niepowtarzalną szansą przeżycia cudownego roku. I co? Brawo! Jesteś bohaterem! Wykonałeś plan. Bezpowrotnie straciłeś czas.

Co robisz?

Ja przez chwilę ważyłem ciężar fiolki w dłoni, po czym wyrzuciłem ją do kosza.